② ROZMAITOŚCI.

Dnia 24. Września — N.er 39. — Roku 1842.

Wspomnienia wojskowe.

VII.

Kiedy w r. 1808 29. listopada noc czarna zapadła w niwach Kastylii, na górach Karpetanos zajaśniały obozowe ognie, słychać było głosy czat hiszpańskich, przechodzące nocne patrole i niekiedy wystrzał ręcznej broni zapowiadający żołnierzom, że dzień jutrzejszy będzie dla nich dniem chwały lub smutku.

Był tam korpus trzynasto-tysięczny Hiszpanów, który po zajęciu miasta Burgos przez wojska francuzkie, cofnął się w te mocne stanowisko i osadziwszy przyległe góry i wąwóz Somo-sierra działami i bitnym żołnierzem piechoty, postanowił wstrzymać pochód Napoleona ku Madrytowi.

O pół mili od tych gór najeżonych bagnetami Hiszpanów, nocował Cesarz Francuzów ze swojémi gwardyjami we wsi Becequillas, i kiedy w pobliżu jego kwatéry panowała zupełna cisza, przerywana jedynie chrzęstem broni starych grenadyjerów utrzymujących straż w około jego mieszkania, albo pochodem jenerałów lub oficerów ordynansowych, roznoszących przygotowawcze rozkazy do boju, w dalszym obozie Francuzów słyszałeś wesołe rozmowy, śpiewy, rubaszne żarty, a nawet rozmaite plany do nastąpić mającej bitwy.

Skoro dzień powstał i gruba mgła jesienna wznosząc się, odkryła linije bojowe Hiszpanów, waleczna francuzka piechota zaczęła się wdzierać na góry po lewej i prawej stronie bitego gościńca, lecz Hiszpany stojąc w mocném stanowisku, morderczym ogniem armatnim i ręcznej broni tak silnie razili széregi francuzkie, że w chwili, kiedy nadjechał Cesarz ze swoją kawaleryją gwardyi, na której czele maszérował pułk polski lekkokonny w ściśniętéj kolumnie, nic dotąd stanowczego w téj bitwie nie zaszło.

Zatrzymał się Cesarz u podnóża góry przy artyleryi francuzkiéj; kule nieprzyjacielskie gęsto obok niego padały, a po chwili przekonawszy się, że zdobycie bateryi stojącej na wzgórzu za wąwozem, jest niezbędnie potrzebne, gdyż ta ciągle ostrzéliwała gradem kul i kartaczy gościniec bity w wąwozie, rozkazał polskiemu szwadronowi pod dowództwem szefa Kozietulskiego, na służbie przy nim będącemu, przejście tego wąwozu i wzięcie bateryi.

Z radosném uczuciem usłyszeli młodzi żołnierze ten rozkaz, gdyż dotąd chociaż w wielu zdarzeniach wojny hiszpańskiéj dowiedli, że są godni stawać do boju obok starych żołniérzy francuzkich, w obecności jednak Cesarza i jego mężnych gwardyjów, po raz pierwszy dobywali oręża.

Donośnym głosem zakomenderował waleczny szef szwadronu Kozietulski: »Naprzód po cztérech!« gdyż wąwóz nie dozwolił innego rozwinięcia szwadronu, a dobywszy pałasza ruszył galopem na czele szwadronu; dochodząc do wąwozu, krzyknął: »Niech żyje Cesarz!« — »Niech żyje!« powtórzył cały szwadron z zapałem to hasło do boju, i w jednéj chwili młodzi rycerze rzucili się z bohatérskim męztwem w tę paszczę piekielną.

Wstrząsły się góry Karpetanos hukiem dział i ręcznej broni, odbiły się echa śmiertelne na polach Kastylii, odbiły się zapewne w niejedném sercu matki i kochanki nad brzegami Wisły — gdyż w téj chwili padło

kilkadziesiąt młodzieży polskiéj śmiercią walecznych.

W tak strasznèm zamiészaniu, kiedy żołniérze i konie w ściśniętym wąwozie padali jedni na drugich, cofnał się na moment ten szwadron waleczny, ale kiedy inne szwadrony pod dowództwem pułkownika Krasińskiego nadchodziły galopem, już on powtórnie nie zważając na grad kartaczy i krzyżowy karabinowy ogień, na Hiszpanów uderzył, rozbił wszystko co mu stawiło opór, zabrał bateryje, zrąbał piechotę i gościniec dla całéj armii Napoleona do Madrytu otworzył.

Pędziliśmy dwie mile Hiszpanów, zabiérając wozy, amunicyję i niewolnika a nakoniec kiedy znużeni zsiedliśmy z koni, w parę godzin nadjechał z oddziałem strzelców konnych gwardyi marszałek Bessiéres, rozkazał pułkowi polskiemu wsiąść na koń i stanąwszy przed frontem, tak się odezwał:

»Cesarz jest kontent z was waleczni Polacy, to świetne natarcie uważa za najśmielszy krok, jaki kiedykolwiek konnica wykonała, mianuje was starą gwardyją, i przeznacza miejsce waszemu pułkowi na prawém skrzydle całéj kawaleryi gwardyi.«

»Niech żyje Cesarz!« rozległ się odgłos w szeregach polskich. — »Niechaj żyją waleczni Polacy!« odrzekł marszałek, wznosząc kapelusz w górę, a słowa jego powtórzyli jedno-głośnie osiwiali w bojach strzelcy konni gwardyi Napoleona.

Dopisek: W bitwie pod Somo-sierra polegli na placu porucznicy: Krzyżanowski, Rudowski i Rowicki — kapitan Dziewanowski w dni kilka z ran umarł; mocno ranni byli: kapitan Piotr Krasiński i porucznik Niegolewski; szef szwadronu Kozietulski, cudem ocalał, mając czapkę, mundur i konia, kilkunastu kulami przestrzelone; podoficerów i żołniérzy zabitych i rannych prawie w połowie liczył ten szwadron.

S. H....

Obłęd sprawiedliwości.

Nie jestto zawsze rzeczą łatwą zadość czynić swojéj powinności. Adwokat doznaje często przykréj próby w kolei swego zawodu. Postawiony między ustawą a człowiekiem, którego taż ustawa oskarza, obowiązany przysięgą równie spiérać sprawę nieszczęśliwego, który może jest winowajcą, jak i sprawę towarzystwa, które przeciw zgubnym i niepohamowanym zapędom namiętności podobnież obrony żąda; dźwiga on na swém sumieniu brzemię podwójnego obowiązku, podwójnéj odpowiedzialności. Na widok trwogi nieszczęśliwego, którego niewinnym być mniemamy, albo téż w obec skruchy i zgryzoty człowieka, który się winowajcą być czuje, któż z nas może się pochlubić, że zawsze święte prawa sprawiedliwości z ludzkością, litość z powinnością pogodzić zdoła?

Prezydent assyzów rozkazał mi r. 1834 bronić pewnego człowieka i żonę jego, których o zabójstwo oskarzono.

Zabójstwo było udowodnione; popełniono je zdradzieckim sposobem. Okazywało się niezaprzecznie, że Małgorzata Dufant, żona, udział w niém miała. Co się dotyczy męża, który jako zabójca swego ojca podobnież przed sądem był stawiony, opiérało się oskarzenie tylko na samych domysłach i nie miało ani pewnych zeznań świadków ani dowodów za sobą. Pomimo uporczywe zapiéranie się obojga, byłem tego przekonania, iż przynajmniéj żona jest winną, a mąż chociaż nie był zbrodni uczestnikiem, jednakże na nią zezwolił.

Z tém wszystkiém wypadało ich bronić i od kary śmierci ocalić; taka była moja powinność, powinność, którą częstokroć świat zapoznaje, a często nawet potwarzą nagradza! Jedna tylko pocieszała mnie okoliczność, że nieszczęśliwych bezpłatnie broniłem.

Z pilną, natężoną uwagą przysłuchiwałem się sądowemu badaniu. Każde nowe odkrycie, każde zeznanie świadków, a nawet samych oskarzonych, zdawało się pomnażać moję moralną trwogę; nic nie mówiło za oskarzonémi a przeciw nim wszystko.

Biédnego, chorego, ośmdziesięcio-letniego starca, któremu już sama natura blizki zgon przeznaczyła, znaleziono zabitego w domu, który wraz z swoim synem i synową zamieszkiwał.

Nikt nie widział jak popełniono zbrodnię, nikt nie słyszał za domem krzyku. Drzwi w pomieszkaniu Dufauta były przez cały ranek aż do południa zamknięte, a Margareta pojawila się tylko na chwilę we drzwiach, by odpędzić natrętną żebraczkę. Miała ona na sobie skrwawioną szatę, a żebraczka przyszedłszy do innych domów, powiedziała, że Dufant zakłuł wieprza, chociaż to nie był czas zwyczajny do bicia nierogacizny.

Wypadek ten obudził ciekawość w sąsiedztwie, wiele osób zgromadziło się przed domem

Dufauta, słyszano ostatnie jęki umierającego.— Małgorzata tym wypadkiem zmieszana, ukazała się we drzwiach, i wszcząwszy rozmowę z sąsiadami, opowiadała im smutny stan swego teścia. Chciał on, jak mówiła, mimo słabość swoję, powstać na nogi, ale nieszczęściem upadł na ziemię i głowę sobie zranił; Małgorzata podjąwszy go, niosła z wielkim trudem na łóżko, ale nie mogąc go udźwignąć, upuściła na ziemię. Teraz zdaje się być blizkim śmierci.

Opowiadanie to zdziwiło wszystkich sąsiadów, jednakże najprzód zajęto się tém, co było najnaglejsze. Jeden mówił, aby sprowadzono lékarza, a drugi księdza. Lékarz mieszkał o dwie mil i trudno, aby jeszcze co pomógł. Alež ksiądz? Małgorzata nie życzyła sobie, ażeby księdza przywołano. Jakób Dufaut niebył nabożny, nie lubił księży, dla tego widok księdza o śmierć by go przyprawił; zresztą, słabość odjęła mu już mowę, przeto spowiednik na nic się mu nie przyda. Chociaż ze wszech stron na nię nalégano, jednakże Małgorzata wzbraniała się uporczywie, a starzec umarł bez pomocy lékarza i bez pociechy religijnéj.

Tegoż samego dnia odbywał się w poblizkiém mieście jarmark. Ludzie z włości B. spotkali tam około południa Piotra Dufaut, który, jak się zdawało, dopiéro się od nich o śmierci swego ojca dowiedział. Słuchał on téj wiadomości bez wzruszenia i nie okazał ani żalu ani zdziwienia, jakieby takowy wypadek, gdyby był całkiem niespodziany, sprawić w nim był powinien.

Po upływie piérwszéj chwili zdziwienia, powstały w sąsiadach niespokojne domysły, które wkrótce tak wielkiego nabrały prawdo-podobieństwa, że o tym wypadku królewskiemu prokuratorowi w najbliższém mieście doniesiono. Mimo narzekań Małgorzaty i próśb jéj męża, niedano pochować zmarłego starca, a dnia trzeciego przybyli do ich domu urzędnicy sądu sprawiedliwości.

Piérwsze już śledztwo nie pozostawiło żadnéj wątpliwości, jaką śmiercią stary Dufaut ze świata zeszedł. Rany, które miał w twarzy i w tyle głowy, nie mogły być skutkiem dwu-krotnego upadnięcia na ziemię. Widać było oczéwiście, że go zabito. Ale kto był zabójcą? Przy umiérającym nie widziano jak tylko Małgorzatę. Nie wychodziła ona z domu, nie opuszczała swego teścia. A więc bez jéj udziału nie popełniono téj zbrodni; Małgorzata umyła podłogę ze krwi, a śmierć starego tłumaczyła zmyśleniem, które widocznie miało bronić zabójcę, gdyż będąc słabą i przyszedłszy niedawno po ciężkiéj chorobie do zdrowia, nie mogła sama jedna popełnić téj zbrodni. Ciosy były zadane silną ręką; świadectwa lékarzy zupełnie w téj mierze się zgadzały.

Gdzież tu znaleźć zabójcę, którego spólniczką była Małgorzata? Wezwano jéj męża, aby się wywiódł, na czém spędził swój czas w dniu pomienionym. Ten utrzymywał, że skoro świt poszedł był do miasta. Atoli wiary-godni świadkowie zeznali, że o godzinie dziewiątéj jeszcze się w B. znajdował, a rzecz była jasna, że zbrodnię popełniono między godziną siódmą a ósmą. Dopiéro o godzinie dziesiątéj inne osoby spotkały go na drodze. Kłamstwo to wtrąciło go w nieszczęście; został o zabójstwo oskarżonym.

Wszystkie te wypadki powtórzyły się jeszcze dobitniéj przed sądem assyzów. Za każdém zapytaniem nowe zeznania świadków utrudniały coraz bardziéj położenie moich klijentów i moje własne. Wszyscy świadkowie opisywali Małgorzatę Dufaut jako surową, nieużytą i złośliwą niewiastę, która się zawsze a mianowicie z swym teściem źle obchodziła. Mówiła o nim zawsze z niejakiém oburzeniem. Nieraz okazywała zadziwienie, iż opatrzność trzyma na świecie ludzi, którzy sami dla siebie nieużyteczni, nudni, tylko dla innych są ciężarem.

Piotr, jéj mąż miał niedawno żywą sprzéczkę z swym ojcem. Stary posiadał jeszcze kilka gruntów, które syn jego sprzedać pragnął, aby swego syna od żołniérki wykupił. Dziad nie chciał w żaden sposób na sprzedanie swojéj własności zezwolić. Upór ten był dla Piotra w najwyższym stopniu niedogodny, bo uzyskaną kwotą z przedaży zamyślił nietylko swego syna wykupić, ale nawet pospłacać długi, które mocno na sercu mu ciężyły.

Żadne zeznanie nie sprzyjało obronie. Nadaremnie zapytywałem świadków, wszystkie ich odpowiedzi oskarżały Dufauta i żonę jego. Miano ich wprawdzie za poczciwych, ale także za łakomych i zysku chciwych ludzi, a ojco-bójstwo czyliż nie zawsze ze chciwości zysku wynika? Nawet twarz ich sprawiła na mnie tak nieprzyjemne wrażenie, żem je w sobie zaledwie pokonać zdołał. Mąż byłto człowiek z natury gnuśny, i na pozór żadnemu wzruszeniu nieprzystępny. Jego czérstwy, jakby wypalony rumieniec, duże wypukłe, nieruchawe oczy, jego wzrok, w którym się tylko gapiowate zdumienie malowało, odbijały dziwnie w obec śledztwa sprawy, która się rozpoznaniem ciała jego ojca zaczęła, a na rusztowaniu zakończyć mogła. Odpowiadał przewłokle i nie zadał z swéj strony najmniejszego pytania. Zdawało się, iż go nic nie obchodziło i dla tego tylko był obecny, aby wypełnić nieprzyjemną powinność, do któréj go zmuszono.

*

Małgorzata zaś wyrażała się złośliwie; ostry wrzaskliwy jéj głos zdawał się grozić świadkom, wyzywać sędziów, znieważać słuchaczy; wcześnie pomarszczona i przez słabość wychudła twarz jéj, pomimo regularnych rysów, wyrażała jakąś surową nieużytość a nawet wstręt i odrazę. Wklęsłe, siwe jéj oczy, szyjące zyzem spojrzenia objawiały twarde, żadnéj litości niemające serce. W czasie długich i przykrych rozpraw, zdawała się pałać samą nienawiścią i zemstą ku tym, którzy ją o zbrodnię obwiniali. Cały zbiég okoliczności gromadził dowody na jéj oskarzenie.

Po adwokacie jeneralnym, który wytoczył skargę, przyszła koléj na mnie spełnić trudne zadanie powołania mego. Rzecz jasna, iż dowody moje słaby tylko skutek sprawiły, jednakże w ciągu mojéj mowy, zdawało się mi, iż z udziałem i pobłażaniem obrony mojéj słuchano, a w końcu sam prezydent oświadczył mi zadowolenie swoje.

Przyszło do dania wyroku. Sędziowie udali się na ustęp, a sąd przysięgłych do przeznaczonéj dla siebie sali. Słuchacze byli widocznie mocno wzruszeni i z natężeniem czekali, jaki koniec ta sprawa weźmie; publiczność podzieliła się na grupy. Małgorzata Dufaut po skończonych rozprawach prosiła, aby ją na chwilę na ustęp do przyległego zaprowadzono pokoju. Strudzony mową, nie wyszedłem z sali i pozostałem na ławce.

Lecz wkrótce oznajmiono mi, że Małgorzata Dufaut życzy sobie mówić ze mną. Pospieszyłem z ciekawością, coby mi oznajmić miała; zastałem ją wzruszoną, drżącą, i na twarzy całkiem zmienioną. Widziałem, że łzy płynęły po jéj licu, które jeszcze bardziéj zbladło, niż przedtém. We drzwiach spotkałem proboszcza z B., który był także obecny badaniu.

»Ach«, rzekła do mnie oskarzona, »jakże jestem panu wdzięczna! pan zadałeś sobie tyle pracy, aby ocalić nieszczęśliwą...«

»Byłato moja powinność«, odrzekłem z niejakiém pomięszaniem; »wpani nié masz mi za co być obowiązaną, a jeżeli jeszcze w czém pomocnym być mogę.«

»Ach, nadaremnie, już wszystko stracone? Oni mnie na śmierć osądzą!«

Ociągać się z odpowiedzią w takiéj chwili, byłoby okrucieństwem.

»Pocóż rozpaczać?« odrzekłem. »Wpani utrzymujesz ciągle, że jesteście niewinni, a więc być może, że przysięgli temu uwierzą.«

»Mnie mieliby uwierzyć? Mnie od kary uwolnić!«

To mówiąc, okazała jakąś radość, która mnie strachem nabawiła.

»Ach nie«, rzekła daléj z spokojną uległością, jakiéj przedtém w niéj nie postrzegłem; »nie, to być nie może! Bóg nie byłby sprawiedliwym.«

Wzdrygnąłem się na te słowa. Byłoto prawie wyznanie, a nie mógłem się zdobyć na odwagę, aby jéj nakazać milczenie lub ją do wyświécenia rzeczy zachęcić.«

»Nie inaczéj«, rzekła daléj, »mnie powinni na śmierć osądzić, ja powinnam tak zginąć, jak zginął stary ojciec. Tego sprawiedliwość wymaga. Ależ Piotr!«

»Nie miałże on żadnego udziału w zbrodni?« rzekłem.

»Nie, przysięgam na Boga, którego miłosierdzia w téj chwili wzywam, że on niewinny. On kochał i szanował swego ojca. Miałżeby go tak katować—nie miałżeby litości nad jego jękiem i płaczem!? Ach, ciągle widzę jeszcze jak się ojciec na ziemi bronił..., nieustannie słyszę jego głos błagający... Dla tego, jato zasłużyłam na śmierć, ale przez miłosierdzie boże, ocal wpan niewinnego, gdyż Piotr nie był przy tém, przysięgam wpanu, że Piotr nie był.«

»A któż był?«

»Kto? Ja... wszak wpanu wiadomo; jamto była, ja nieszczęśliwa, i dla tego powinnam umrzéć.«

Tak nagłe, niespodziane zeznanie, chociaż zgadzające się z domysłami mojémi, nabawiło mnie niespokojności, któréj opisać niepodobna: zaledwie zdołałem pozbiérać swoje myśli i kilka słów przemówić.

»Małgorzato«, rzekłem po niejakiéj chwili, »tyś nie mogła sama jedna popełnić téj zbrodni; nikt temu nie uwierzy. Niezupełne wyznanie, niedokładne świadectwo, nie zdoła ocalić twego męża. Mów więc, pokąd jeszcze czas... Wymień prawdziwego zabójcę, niech Piotra od hańby i śmierci wybawimy.«

»Za takąż tylko cenę to nastąpić może?«

»Nie inaczéj..., a przytém wiédz o tém, że jeżeli nie wymienisz zabójcę, tedy sądzić będą, że zwątpiwszy o swojéj sprawie, sama się dla tego jedynie oskarzasz, abyś spółwinowajcę ocaliła. I dla czegożto ociągasz się wymienić człowieka, który cię do tego występku pobudzał? którego równie jak i ciebie kara boska i ludzka dotknąć powinna. Być może, iż ty sama, jeżeli szczérze i dokładnie wszystko zeznasz przed sądem, złagodzenie swojéj kary otrzymasz...«

»Ach, łaskawy panie!...«

Nieszczęśliwa rozpłakała się rzewnie, słuchając mego upomnienia; ostatnie słowa moje spra-

wiły na niéj szczególniejsze wrażenie i wznieciły opór, któregom z początku nie pojmował. Z tém wszystkiém rzekłem daléj: »Ktokolwiek jest winowajcą, powinnaś go wymienić, bo nie mamy czasu do stracenia. Jestto rzecz nieodzownie potrzebna, jeżeli nie dla ciebie, to przynajmniéj dla tego nieszczęśliwego, którego może w téj chwili na śmierć sądzą, dla twego męża, którego hańba i na dzieci twe spadnie.«

Na te słowa zalała się jeszcze bardziéj rzewnémi łzami i zaczęła drżéć na całém ciele. Byłem blizki odkrycia okropnéj tajemnicy.

»Któżto«, rzekłem mocnym i poniekąd rozkazującym tonem, »któżto przy tak okropnéj zbrodni wzbudza w tobie tak wielką litość, że mu życie i honor swego niewinnego męża poświęcić pragniesz? Małgorzato, na początku tego zeznania wezwałeś Boga za świadka; pobożny kapłan opuścił cię właśnie, gdym ja wszedł do pokoju, zbawienna mowa jego skłoniła cię zapewne do wyznania prawdy, która sama jedna zapobiédz może, aby sąd sprawiedliwości strasznego błędu nie popełnił. Postaw się więc znowu przed obliczem Boga, przypomnij sobie słowa jego piastuna. Zdołaszże zamilczyć zeznanie mające ocalić tego, którego milczenie twe na szafot zaprowadzi? Jakież stosunki wiążą cię z tym, który był twoim spółwinowajcą? Niech będzie ktokolwiek, wymień go, gdyż inaczéj staniesz się niegodną miłosierdzia bozkiego.«

»Ach, łaskawy panie, gdybyś wiedział!... ale Piotr sam na to nie zezwoli.«

Struchlałem. Okropna myśl przebiegła mi przez głowę. Czy nie syn, którego z wojska wykupić chciano... — »Któżto był? Mów!«

»Nigdy!«

»Może twój syn?«

»Przez miłosierdzie boże! Nie mów wpan tego! Jam tego nie powiedziała.«

Teraz zrozumiałem jéj trwogę, wahanie się i udręczenie. Żal jéj wzruszył mnie do żywego; niewiasta, na widok któréj wzdrygałem się przed chwilą, którą z niejaką odrazą broniłem od rąk katowskich, ta niewiasta wzbudziła teraz we mnie istotne politowanie. Zacząłem się wahać, konieczna powinność nakazywała mi bronić niewinnego, lecz dla ocalenia ojca wypadało zeznaniem matki wydać na rusztowanie syna, wypadało zmusić ramię sprawiedliwości, aby na samego syna padła kara ojcobójstwa! Nie byłożto okropnie?

Małgorzata zrozumiała moje wahanie się.

»Zlituj się łaskawy panie«, zawołała, »zlituj się nad moim biédnym synem! Jest on wprawdzie winny, ale on przezemnie to uczynił, bom go — nieszczęśliwa! z domu puścić nie chciała.«

»A ojciec-że jego? Winowajca jest wprawdzie drogi sercu twemu, ale czyż niewinny mniejsze ma prawo do serca twego?«

Na te słowa westchnęła głęboko, a ja rzekłem daléj tak mocnym głosem jak tylko można:

»Wiém o tém i czuję wraz z tobą, iż to jest bolesną, trudną do wypełnienia powinnością, ale to się stać musi. A więc nabierz odwagi. Jak widzisz, nie jestem nieczuły na twoje łzy i narzekania, pojmuję całą okropność twojego położenia, ale podobnie jak ty ociągać się nie powinienem. Nabierz więc odwagi. Małgorzato; nie mamy ani chwili do stracenia, żegnam cię.«

»Przebóg«, zawołała przeraźliwie zbrodniarka stanąwszy między mną a drzwiami dla zabronienia mi odejścia, »zaklinam wpana na imię Boga, nie powiadaj tego przed nikim! Piotr nie może być skazanym na śmierć; Bóg tego nie dopuści. On będzie bronił niewinnego, a może i winnemu przebaczy. Ja sama odpokutuję. — Nie oskarżaj mojego syna!« — Dufaut mógł w saméj rzeczy za niewinnego być uznany, miałżem wtedy przeciw prawdziwemu winowajcy wytoczyć zeznanie jego matki? Położenie moje było straszne, z tego zadumania przebudził mnie dzwónek oznajmujący, że przysięgli wrócili z sali, i że proces na nowo się rozpoczął.

»Przyrzeknij mi wpan«, rzekła Małgorzata, »że nic nie powiész, pokąd ja na świecie żyję.«

Przyrzekłem. Małgorzata uklękła i zaczęła się modlić, a ja w niewysłowionéj trwodze udałem się znowu na dawne miejsce do izby sądowéj.

Sąd przysięgłych powrócił, a najwyższy sędzia zaczął czytać uroczyście drżącym głosem i z głębokim smutkiem wydany wyrok.

Małgorzatę uznano winną zabójstwa teścia swego. Piotrowi Dufaut przyznano jedno-głośnie karę ojco-bójstwa. Jednakże sąd przysięgłych przytoczył dla obojga łagodzące okoliczności. Przebóg! Złagodzenie kary w ojco-bójstwie!? Wyrok ten zdziwił powszechnie wszystkich, bo go niezrozumiano. Łagodzące okoliczności były te same, jakie się często wydarzają; byłto wyrok wątpliwości, pewien rodzaj kapitulacyi z sumieniem.

Zamysł mój był stanowczy. Głos ludzkości i politowania wziął górę nad głosem sprawiedliwości. Piotr Dufaut uszedł śmierci, inaczéj, byłbym użył wszelkich sposobów, dla złagodzenia jego kary i naprawienia obłędu, przez który on ciérpiał, a w którym ja także udział miałem. Z resztą sądziłem, iż dla dobra publicznéj moralności, nie powinienem odkrywać téj strasznéj tajemnicy i milczałem.

Wprowadzono do sali obżałowaną. Piotr był zawsze obojętny; atoli spokojność i obojętność

jego, na którą się podczas rozpraw gniewałem, wzruszyła mnie tym razem. Biédny ten człowiek był niewinnym; nie pojmował wcale, na jakie niebezpieczeństwo jest wystawiony! Przeciwnie zaś żona jego, ledwie się na nogach utrzymać mogła; była wprawdzie spokojniejsza, lecz na twarzy jéj zamiast gniewu i groźby widać już było żal i uległość, którą może osłabieniu przypisywano. Piérwsze swoje spojrzenie zwróciła na mnie, i tylko ja zrozumiéć je mógłem. Przekonawszy się wkrótce, żem nic nie powiedział, uspokoiła się cokolwiek.

Wzruszeni do żywego słuchali oboje wyroku przysięgłych. Prezydent zapytał mnie podług zwyczaju, ażali względem zasądzenia kary mam jeszcze co powiedziéć. Żałośny krzyk za mną dał mi poznać, jaką trwogę w sercu nieszczęsnéj matki obudziło to zapytanie. Skinieniem dałem sądowi do poznania, że się zgadzam z zasądzonym wyrokiem i uspokoiłem nieszczęśliwą. Musiano ją wynieść z sali; mężowi jéj pozwolono udać się za nią.

W niebytności jéj wydano wyrok, którym ich na całe życie do robót publicznych skazano.

W kilka dni późniéj udałem się do Paryża, gdzie w przeciągu miesiąca uzyskałem zupełne cofnięcie zapadłego na Piotra Dufaut wyroku. Nawet wyrok na jego żonę cokolwiek złagodzono.

Odpowiedź na uwagę.

W bardzo przekonywający sposób dowiódł nam autor uwagi (zamieszczonéj w ostatnim numerze »Dziennika mód«), że poezyje i powieści wydane w zbiorze osobnym pod nazwą: *Prace literackie* istotnie tę nazwę nosić powinny. Odtąd wszystkie podobne utwory, jak: *Płacz i Śmiech, Orły z domu Herburtów*, pracami literackiémi nazywać będziemy, podczas gdy dziełom jak *Słownik* Lindego, *Historyja literat.* Wiszniewskiego lub *Początkowe dzieje Polski* Bielowskiego i tym podobnym dla rozróżnienia od prac literackich, w skutek światłéj uwagi będziemy musieli dać nazwę: *Zabawki literackie.*

Mówi nam autor uwagi, że do napisania powieści jak *Zemsta,* trzeba było zbadać cało-wiekowe dzieje; tém zdaniem ubliżył autor panu Magnuszewskiemu. Aby napisać taką powieść, potrzeba samemu być doskonałym artystą. Zbadanie nie cało-wiekowych dziejów, ale całych dziejów, (bo któż kiedy pojął ducha jednego wieku w oderwaniu?) oprócz tego, wiadomości obszérne, nauka głębsza, jest tylko przygotowawczém usposobieniem niezbędnie potrzebném artyście. Taką poprzednią nauką rozbudzony jeninsz artysty tworzy powieści, które dotychczas utworami sztuki, a nie pracami literackiémi nazywano.

Żeby nas nie obwiniano, iż my wszczęli kłótnię o wiatr, zwracamy uwagę czytelników na poprzednią wzmiankę w »Rozmaitościach« o *pracach literackich.* Donosząc o majacém wychodzić téjże saméj nazwy, pismie czasowém w Berlinie, chcieliśmy czytelników uważnymi uczynić, iż wnosząc po stanowisku Dra Cybulskiego, (profesora liter. sław.) *Prace literackie* berlińskie, nie będą zawiérać powieści i poezyj, jak lwowska publikacyja, — ale będą treści naukowéj. W témże samém ogłoszeniu dodaliśmy, iż powieści i poezyje w pracach literackich lwowskich, były znakomitéj wartości. Uwagą, iż im dano nazwę niewłaściwą, nie spodziéwaliśmy zwrócić na siebie dowcipnych przymówek szanownego wydawcy, które teraz milczeniem pomijamy. Że »Rozmaitości« same posiadają klucz do ciężkości i lekkości tworów umysłowych, bardzo sprawiedliwie uważał autor uwagi; dla tego więc nie noszą nazwy: *Prac literackich,* ale mają tytuł: *Rozmaitości, pismo dodatkowe do Gazety Lwowskiéj.*

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 38. i obejmuje: 1) Próba uprawy gruntów melasą. 2) Nowe doświadczenia potwierdzające, że kwas siarkowy użyty do powiększenia urodzajności ziemiopłodów, wybornie zastępuje siarczan wapna (gips). 3) Niektóre uwagi nad tłustką siewuą *(Madia sativa).* 4) O połączeniu leśnictwa z rolnictwem. 5) Doświadczenia nad sporządzeniem karmu zaparzonego (parzonki). 6) O różnych sposobach nasalania (peklowania) mięsiw do handlu. (Ciąg dalszy). 7) Wiadomości czasowe.

Z Warszawy: K. Wł. Wojcicki przygotował do druku, ważne historyczne dzieło: *Historyczne pomniki do dziejów i literatury polskiéj.* Tom I., zawierający: *a)* Gazety, czyli nowiny z czasów Zygmunta III; *b)* Rękopism z czasów Jana Kazimiérza do wojen kozackich i szwedzkich; *c)* Listy króla Jana III. nieznane; *d)* Dyjaryjusz wypraw pod Chocim za Zygmunta III. i Jana III.; *e)* Pisma satyryczne z różnych epok i t. d.

Tamże wyszła: *Encyklopedyja i metodologija,* obejmująca ogólny rys nauk i wiadomości prawnych przez Jana Kłodzińskiego.

Tamże przestały wychodzić: *Le Glaneur* (francuzki zbiéracz kłosów) i *Gazeta powszechna* wraz z *Pamiętnikiem literackim* redagowana przez Wittego.

Wydawanego w Wilnie przez p. Kraszewskiego, pisma: *Athenaeum,* doszło nas oddziału drugiego zeszyt piérwszy. Zawiéra z Filozofii: 1) *Parafrazy Hegla* z jego wstępu do historyi filozofii, przez Tytusa Szczeniowskiego. Autor chce w popularny sposób wyłożyć Hegla wstępne myśli do historyi filozofii. Wysłowienie łatwe, język nie kaleczony nowo-ukutémi słowami. Tylko nam się zdaje, że autor

zadanie swoje niezupełnie rozwiązał. Często pojęcia ścisłe, w ścisłém orzeczeniu miesza z popularnym wykładem; z tąd początkowemu w dziedzinie filozofii (dla którego pan S. pisze), zdawać się będzie, iż on zrozumiał myśl autora, podczas gdy on tylko pojedyńcze słowa lub zdania rozumié, a o myśli wiążącej słowa i zdania ani wyobrażenia nié ma. Naszém zdaniem chęć popularyzowania filozofii (w ten sposób, aby była przystępną nawet i dla tych, którzy nie mają przygotowawczych nauk) jest bardzo niebezpieczną. W popularnym wykładzie traci filozofija najistotniejszą wartość swoją, głębokość myśli. Dziwi nas niepomału, że z téj strony, zkąd ciągle wołają: »Postęp na tle wiary, precz z filozofiją!« gdzie każda filozofija imie panteizmu nosi, którego jak *dżumy* się strzegą, że z téj, mówię strony, dochodzi nas wykład filozofii heglowskiéj. Zasługę tę liczymy na karb nieuprzedzonych chęci pana Kraszewskiego. — 2) Z Historyi: *O Mazeppie*, przez Przezdzieckiego. Bardzo ciekawe szczegóły pozbiérał pan P. o *Mazeppie*. Osobliwie użył źródeł rossyjskich. Wszelako dotychczas uważaliśmy *Mazeppę* jako bohatéra walczącego a nawet zdradzającego dla wolności i niepodległości Ukrainy, i od tego pojęcia nie odstępujemy. Pan Przezdziecki, wystawia *Mazeppę* jako łotra i zdrajcę, który wszędzie nie wiedzieć dla czego podstępnie działa. — 3) *Karmel, wyjątek z pielgrzymki do Ziemi świętéj* księdza Hołowińskiego. — 4) *Odgraniczenie sądowe dóbr grodzieńskich i bielskich*, ze zbioru Leona Rzyszczewskiego. — Z literatury: 1) *Noc Tarassowa*, powieść Zenona Fiss. (Ciąg dalszy). 2) *Literackie przygody pana Koscieszy*, przez Edw. Tarszę. Bardzo trafnych kilka rysów z upłynionéj epoki literatury. 3) *Skazka o siedmiu Siemionach*, z Polewoja, przekład Podbereskiego. Jestto podanie wyszłe z ust rossyjskiego ludu, w duchu narodowym po artystowsku odtworzone. Przekład wyborny. 4) *Szach Hussein*, przekład z Marlińskiego. — Z Poezyi: 1) *Łzy*, legenda ks. Hołowińskiego i kilka innych pieśni Jakóba Synhajewskiego. 2) Piérwszy akt z dramatu pod tytułem: *Góral*, Józefa Korzeniowskiego, (scena odbywa się w Karpatach między wsią Żabie i węgierską granicą po Czeremoszu. Częś aktu drugiego pode Lwowem). Rozbiór wszystkich utworów Korzeniowskiego, wkrótce umieścimy w »Rozmaitościach.« Najpiérwszy z piszących obecnie dramatyków w Europie, nawet w swojéj ojczystéj ziemi nie zyskał jeszcze uznania, tylko lwowska publiczność zachwyca się jego utworami, przedstawianémi na tutejszéj scenie; w innych prowincyjach Polski ledwie z imienia znamy. — Sztuki: Posłuchanie malarza Jana Moraczyńskiego u Papieża (wyjęte z »Gazety Lwowskiéj«). W końcu »Rozmaitości.« Tu nam udzielił pan Dominik Chodźko, bardzo zajmujących listów Zoryjana Chodakowskiego. — Z przytoczonej treści łatwo czytelnicy nasi wnieść mogą, jakie stanowisko zajmuje obecnie *Athenaeum*. W całém piśmiennictwie obecném polskiém, jako zbiorowe pismo, piérwsze zajmuje miejsce.

Z Wilna. Nowy tom *Literatury i Krytyki* M. Grabowskiego. — *Sen w Podhorcach*, powieść ks. Chołoniewskiego. — *Święty Stanisław*, przez Konopackiego. — Dzieła Kazimierza Brodzińskiego pięć tomów. — *Zasady myśli i uczuć moich*, Bochwica. — *Chwila opowiadania*, John of Dycalp. — *Pamiętniki do dziejów polskich*, przez Lachowicza. — *Aksel*, poemat Izajasza Tegnera, przez Wiernikowskiego. — Wkrótce wyjdą w księgarni Glücksberga: *Pielgrzymka do Ziemi świętéj*. Tom 3ci. — *Mieszaniny obyczajowe* Jarosza Bejły. Tom 2gi. — *Listopad*, romans ze średnich wieków, przez hr. Rzewuskiego. — *Ornitologija powszechna*, przez Konst. hr. Tyzenhauza. Tom. I. — Reszta manuskryptu Jana Chryzostoma Paska z biblijoteki w Petersburgu.

Michał Grabowski, będzie wydawał: *Źródła do dziejów Polski*, rozgatunkowane na pięć oddziałów: Piérwszy Pamiętniki, drugi akta, trzeci listy, czwarty dyplomata, piąty miészaniny.

Roślinny piérwiastek dyjamentu. Jeżeli przez ponawiane mikroskopowe badania potwierdzi się, że dyjament, tak wewnątrz w niezmiennych swoich plamkach, jako też w pozostałym przy spaleniu jego popiele okaże ciała, które są roślinną komórkowatą tkanką, co doktor Petzholt w swojej niedawno wydanéj rozprawie pod nazwą: *Beiträge zur Naturgeschichte des Diamants*, udowodnić się stara, wtedy będzie to ważny środek do bliższego poznania natury tego rzadkiego ciała. Wtedy prawie z pewnością będziemy mieli dyjament za zmienione i skrystalizowane roślinne ciało. Prawda, iż to odkrycie doktora Petzholt, jeszcze nie poda nam sposobu robienia dyjamentów. gdyż do tego jeszczeby wiele wiedzieć pozostało, jednakże odkrycie to będzie dla umiejętności bardzo ważne i dla tego sam pomieniony doktor wyraża się w téj mierze jak następuje: »Prawda, iż nam dotychczas niewiadomo, jaka to była węglana substancyja roślinna, która przeszedłszy w zgniliznę, w dyjament się zamieniła, i jaki wpływ miały nań ciała inne, że się węglik jako krzyształ pojawił; jednakże to nam wiadomo, że cały ten proces odbywał się bardzo pomału i w żaden sposób wyższą temperaturą przyspieszony nie był, gdyżby się węglik nie mógł skrystalizować, lecz przeciwnie byłby się jako czarny proszek odłączył.« Że dyjament z rośliny pochodzi, tego się już dawno Newton domyśliwał, a Liebig wnosił to bardzo konsekwentnie niedawno ze stanowiska postępu chemii nowoczesnéj. Spodziéwamy się więc, że chemija nowo-czesna pokaże nam kiedyś sposób utworzenia go sztuczną drogą.

Honoraryja w dawnych czasach. *Stuttgarter Morgenblatt* zawiéra szczególniejsze uwagi o stosunkach, jakie zachodziły między autorami a nakładnikami dzieł w końcu zeszłego wieku. Autorowie, najczęściéj duchowni za czasów Klopstoka, uważali prawie za *symonije* przyjmować *honoraryjum*. Gellert otrzymał za swoje bajki 31 złr., Krzysztof Daniel Beck za żmudną pracę nad Eurypidesem, brał po cztéry czeskie od arkusza, Lessing za dramat: *Minna von Barnhelm*, wcale nic nie dostał. Göthe i Merk kazali własnym kosztem wydrukować dramat: *Götz von Berlichingen* i nie zapłacili jeszcze wtedy za papiér, gdy już imię Gótego széroko sława rozniosła; za dramat: *Stella*, dał Göthemu Mylius w Berlinie 20 talarów, a za wszystkie jego dzieła, które Himburg przedrukował, nie dano mu jak tylko serwis na kawę z berlińskiej porcelany. — Naszym autorom i teraz nie lepiéj się dzieje!

Podwodny brander. W Nowym Jorku odbyto niedawno bardzo ważną próbę. Szło tu o podwodną bateryję, którą niejaki Colt wynalazł, a któréj zamiarem jest, za pomocą tego niewidomego branderu w bitwie morskiéj nieprzyjacielski statek w powietrze wysadzić. Dla wykonania téj próby, obrano stary skołatany, linijowym okrętem *Castle-Garden* na otwarte morze zaciągnięty statek, pod którym tenże brander zapalono. Wybuch był straszliwy, a z roztrzaskanego

statku nie pozostało ani jednego szczętu, któryby miał choć kilka cali wielkości. Nie znamy jeszcze dokładnie struktury téj podwójnéj bateryi, jednakże poprzednio to tylko jest wiadomo, że takowa złożona jest z obszérnej palnym materyjałem napełnionéj skrzyni, którą nurek pod wodą zręcznie do nieprzyjacielskiego okrętu przyczépia i która z naciérającym okrętem przez drut w komunikacyi zostaje. W próbie uczynionéj na pomienionym starym statku, zostawał *Castle-Garden* w komunikacyi przez drut mający 400 sążni długości. W godzinie wyznaczonéj pan Colt zetknął drut z stosem Wolty, a w mgnieniu oka, okropny wybuch nastąpił.

Niewielkie żądanie. Wiadome jest podanie, że niegdyś pewien mędrzec Wschodu uprosił sobie od Szacha następującą łaskę, mianowicie, za pierwsze pole w szachownicy jedno ziarno pszenicy, za drugie dwa, za trzecie cztéry, za czwarte ośm, za piąte szesnaście, i tak daléj aż do 64 pola. Minister skarbu Szacha nie mógł wypełnić tego żądania, które małoznaczącém się być zdawało. Pewien Anglik obliczył, że summa tego żądania wynosi 18 trylijonów, 446,744 bilijonów, 73,907 milijonów, 551,652 ziarn pszenicy. Dla wydania téj masy ziarna potrzebaby, aby cała kula ziemska, wolna od wszelkich lasów, dróg, puszcz, jezior i rzék, jeszcze 76 razy była większą niż teraz. Dla odstawy téj pszenicy, potrzebaby nie mniéj jak 625,499 milijonów czworo-sprzężnych wozów, któreby jeden za drugim uszykowane 231,666 razy na około ziemię otaczały. — Pewien Francuz obliczył, iż dla wypełnienia powyższego żądania przebiegłego mędrca, musiałoby być 13.584 miast, w każdém z nich 1084 stodół, w każdéj stodole 174,762 miar, a w każdéj miarze 32,768 ziarn. Rachując wispel pszenicy po 50 talarów, potrzebowałby kraj 30 milijonów każdego roku dochodu przez 2,083,000 lat dla uzbiérania pieniężnéj kwoty za pomienioną pszenicę. — Temu obrachowaniu podobne jest następujące mityczne podanie indyjskie: Nad brzegami Gangezu jest wszystko olbrzymie. Fantazyja tamtejszych poetów postępując równym krokiem z olbrzymią naturą Hindostanu, utworzyła kosmogeniczną budowę, na którą bez zawrotu głowy zastanowić się nie można. Jeden rok Bramy, utrzymują ci uczeni, równa się 3,110,400,000,000 ludzkim latom, a tak lat 80,000 oznacza czas od stworzenia świata. Zwolenniki Budy, posuwają jeszcze daléj, utrzymując, że jeden rok Bramy, wyrównywa jednostce, przy któréj 4,456,448 nul stoi; cyfra ta wyrażona zwyczajnémi typograficznémi czcionkami dałaby liniję 6 do siedmiu tysięcy sążni mającą. Podług wiary najgodniejszych doktorów angielskich, 1000 milijonów ziem takich, jak nasza, z przynależnym orszakiem słońc, księżyców i planet, świat stanowią. Sto kwintylijonów tych światów jest jedną sekcyją, a dwadzieścia takich sekcyj jest ziarnkiem wszechswiecia (*universi*). Myryjady takich ziarnek spoczywają na jednym listku lotusowym. Liczba tych listków lotusowych (braminowie obliczyli je), wyraża się milijonami milardów, a każdy z nich opiéra się na ziemi, stanowiącej część systemu, który nierównie jest przestrzenszy niż pomienione drobnostki.

W czasie pobytu Naj. Króla pruskiego w Gdańsku, niejaki C. W. Sabiecki, wydał wiersz pod tytułem: *Rymy więźnia osadzonego za długi*, w którym autor wynurzył radość swoich spół-aresztantów, z powodu przybycia łaskawego Monarchy i zarazem ubolewanie, że nie mogą publicznie okazać swojego uczucia. Gubernator v. Rüchel Kleist, czyniący wiele dobrego, raczył ten wiérsz przedstawić królowi. Niezadługo nadszedł z Peterhofu rozkaz króla, rozpoznać stosunki poety, teraz zaś powtórnym rozkazem długi jego umorzono, a autor uzyskał wolność, przyczyniwszy się także do uwolnienia kilku spół-aresztantów.

Wypadek z życia Wiktoryi, królowéj angielskiéj. Królowa Wiktoryja ma wielkie upodobanie w żegludze i wycieczkach na morzu. Nim jeszcze na tron wstąpiła, odbywała częste przejazdki w pięknym jachcie, który się *Smaragd* nazywa. Jednego dnia gdy płynęła około wyspy Wight, i podziwiała malownicze jéj położenie, powstała straszna burza. Jachtem miotały bałwany na wszystkie strony. A królewna siedząc spokojnie i bez trwogi na pokładzie, przypatrywała się z uwagą pracującéj okrętowéj czeladzi. Rotman Saunders używał wszelkich sposobów dla wydobycia się z tego kłopotu. W tém ogromny wał uderzył w jacht, a Saunders widząc niebezpieczeństwo, poskoczył i chwyciwszy królewnę w ramiona, zaniósł ją w bezpieczne miejsce. Ledwie że tego dokonał, aż oto maszt obalił się na toż samo miejsce, gdzie przed chwilą stała królewna. W podziękę za to, mianowała go królewna właścicielem okrętu, a po wstąpieniu na tron kazała go sobie przedstawić, Był on niejaki czas właścicielem królewskiego jachtu, zwanym: *Pożar*, który potém na cześć króla pruskiego *Czarnym orłem* przezwano; niedawno zeszedł z tego świata, a królowa wyznaczyła dla pozostałéj po nim wdowy pensyję dożywotnią.

Życie w Konstantynopolu. Znany dyplomatyk, margrabia Londondery, wydał niedawno opisanie swojéj podróży po Hiszpanii, Turcyi, Niemczech i t. d., i uskarża się mocno na życie w Konstantynopolu. Odradza on każdemu, który smaczno jeść lubi, podróż do tego miasta, mówiąc, że nietylko wszelakie mięso ale nawet drób' jest tam niepotem. Masła wcale nie dostaniesz, a z nabiału tylko kozie mléko. Chléb powszechnie jest kwaśny i niesmaczny, gdyż tam drożdży nié ma. Wino, które sprowadzają, jest złe i drogie, a wody ze stawów nie można pić, jeźli jéj wprzódy nie przecedzisz. Jedne tylko ryby są dobre; chceszli smaczno jeść, musisz wszystko z dalekich stron sprowadzać. Prócz tego nie masz tam ujeżdzalni, sal balowych i tym podobnych, nie możesz więc inaczéj rozerwać się, jak tylko przechadzając się pieszo po nierównym i ostrym bruku. Owo zgoła nic ci nie pozostaje, jak tylko podobnie Turkom założywszy na krzyż nogi, siedzieć w domu i oddać się gnuśności, jeżeli w Konstantynopolu chcesz zamieszkać.

W »Gazecie Poznańskiéj« czytamy następujące ogłoszenie: W instytucie położnic, ale tą razą nie w klasztorze dominikańskim, tylko w księgarni braci Szerków, panna Dziubińska, córkę powiła; bodaj się podobała. Dostać ją można za złp. 1. gr. 15., pod nazwiskiem: *Bazar*, komedyja.

Pojedynek Murzynów w Paryżu. Dwóch bardzo przystojnie ubranych Murzynów, pokłóciło się z sobą na polach elizejskich; w okamgnieniu cisnęli kapelusze na ziemie, i pozdejmowawszy z siebie fraki, podług zwyczaju czarnych niewolników w kolonijach, wyszli na łby w pojedynek. Za pierwszém uderzeniem padł jeden z rozbitym łbem nieżywy na ziemię; przywołana straż policyi schwytała zwycięzcę w tym szczególniejszym pojedynku, i zaprowadziła do więzienia.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.